№ 60. Wtorek, dnia 23 Listopada 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE

Tygodnik

WARSZAWA
dnia 11 (23) Listopada
1875 roku.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy Wtorek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie kop. 38.
" " na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; —
" " kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA
przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1350
(nowy 11).

NIEZNAJOMA POETKA.

Ileż to razy zdarzyło nam się czytać ubolewania, że sprozaiczniała nasza epoka i że na niwie poezyi panuje nieurodzaj zatrważający. Czy tak jest, czy też nie jest, i dla czegoby tak być miało, dla czegoby nie mogło być inaczej, badać i rozbierać nie będziemy. Dla nas, często napotykane uwagi tej treści są dowodem, że mamy ludzi, którzy czują jeszcze potrzebę poezyi, którym pozytywne zdobycze nauki nie wystarczają. Tym ludziom, ilukolwiek ich jest, mamy donieść pożądaną nowinę. Do szeregu młodych poetów naszych przybył talent, któremu nietylko piękną przyszłość wróżyć, ale i świetną teraźniejszość przyznać musimy.

Na dowód, że słowa nasze nie są przesadą, pozwólmy śpiewać samemu poecie.

Od niepamiętnych czasów każdą wiosnę opiewali pieśniarze. Tegoroczna stokroć szczęśliwsza od wielu innych, doczekała się takiej powitalnéj pieśni:

Wiosna! wiosna się budzi!. W młodej listków zieleni,
W chórze muszek brzęczących radośnie,
I gdzie słuchać, gdzie spojrzeć, wszystko szczęściem [promieni,
Wszystko mówi i śpiewa o wiośnie!
Wonne wierzby nad modrym pochylone strumieniem
I dziękczynne skowronków kapele,
I poranek uśmiechem i wiatr ciepłem westchnieniem
I całego stworzenia wesele!

Wiosna! wiosna się budzi!.. Ja ją widzę i słyszę
W tym przeczystym niebiosów błękicie,
W niezrównanéj harmonii, co napełnia tę ciszę,
W własnéj duszy nieziemskim zachwycie,
W dźwiękach które nademną drżą gdzieś w sferach [powietrznych,
W woniach co się dokoła unoszą,
I w płynących z méj piersi modłach cichych, ser- [decznych,
I w łzach moich, co biegną z rozkoszą!

Wiosna! wiosna się budzi!.. Z każdym ptakiem [i kwiatem
Wszystkim, wszystkim pragnęłabym wieścić,
I jak wietrzyk majowy ulatywać nad światem
I tem słowem jak srebrem szeleścić,
I jak rzeczka gdzieś płynąć w nieskończoną dal [jasną,
Przez fijołki i złote pierwiosnki,
Skrzydła przypiąć do ramion, bo mi ziemia zaciasną,
I w blask rozwiać, rozpłynąć się w piosnki!

Wiosna! wiosna się budzi!.. Ile szumów i gwarów,
W leśnéj znowu rozlega się głuszy,
Tyle marzeń i rojeń, tyle dziwów i czarów
W głębiach mojej odzywa się duszy!
Myśli tęskne i błogie w ciągłéj z sobą rozterce
Kłótnię wiodą bez końca różową...
O mój Boże!—więc prawda, że i zmarłe to serce
Budzisz wiosną miłości na nowo?...

Nie obawiamy się, żeby nam ktokolwiek umiejący ocenić utwory poezyi zaprzeczył, że ten mały poemat, te cztery zwrotki tak mistrzowskie podwzględem treści, ta śliczna, taką świeżością tchnąca waryacya do wiecznego i na wszystkie tony ograneg tematu, godną jest stanąć obok najpiękniejszych kartek, jakie wyszły z pod pióra Syrokomli; że pod tą pieśnią wiosenną bez ubliżenia tak słusznie zdobytéj sławie mógłby śpiewak „Lirenki" położyć swoje, drogie nam wszystkim nazwisko.

To też gdyby tylko te cztery zwrotki wyszły z pod pióra poety, o którym mówić tu chcemy, już byśmy mieli prawo powiedzieć to cośmy powiedzieli na wstępie. Gdyby jednak tak było, gdyby ten poemat był pierwszą próbą poczynającego pióra, nie napisalibyśmy tych wyrazów, chociażby one były tylko wynurzeniem najszczerszego naszego przekonania. Lękalibyśmy się zwichnąć przedwczesną pochwałą tak świetnie debiutujący talent.

W tej chwili jednak obawy tej mieć nie możemy. Autorka tych wierszy nie jest debiutantką, a przypatrywaliśmy się jej pierwszym krokom w piśmiennictwie dość długo i dość z bliska, ażeby przyjść do przekonania, że szczere słowa rzetelnego uznania nie tylko na rozwój jej talentu nie wywrą szkodliwego wpływu, ale owszem, że temu talentowi takiego uznania potrzeba, aby nie zwątpił o swych siłach, i aby w walce z postronnemi okolicznościami, które rozwój jego tamować mogą, nie stracił tej energii młodzieńczéj, dzięki której jedynie dotychczas wpływom tych okoliczności nie uległ. Autorka tych wierszy nie jest debiutantką, i największym, najsilniejszym dowodem sprozaicznienia naszéj epoki jest nietyle nieurodzaj na poetycznéj niwie, jak raczéj to, że takie nowe pióro ani zaraz w chwili pojawienia się pierwszego utworu, ani przez parę lat następnych nie zwróciło na siebie bliższej powszechniejszéj uwagi.

Półtrzecia roku temu piszący te słowa otrzymał z prośbą o wydrukowanie kilka drobnych utworów, podpisanych skromnie imieniem „Marya". Krótki liścik załączony do tych poezyi nie dobrą był dla nich rekomendacyą. Doświadczenie nas nauczyło, że rzadkiem jest bardzo zjawiskiem, żeby poeta, a szczególniej poeta debiutujący, potrafił dobrze pisać prozą, i przekonywaliśmy się również często, że początkujące pióra szczęśliwe do mowy niewiązanej, zazwyczaj zwalczać nie umieją trudności technicznych rymowania, co jest zresztą zkądinąd bardzo naturalnem zjawiskiem. Próbka prozy jaką mieliśmy w liście była bardzo ładną, tem mniej zatem wróżyliśmy o wierszach i zabraliśmy się do ich odczytania z niedowierzaniem. Jak przyjemny spotkał nas zawód, oceni każdy kto przeczyta następujący poemat:

Rozmowa.

Ja.

Gdzie mnie unosisz zuchwałym lotem,
Potęgą orlich piór?
Czy chcesz mnie poznać z piorunu grotem
W groźnéj krainie chmur?
Czy chcesz mnie rzucić w wichru objęcia?
Czy w srebrną topiel snów?
Czemu mą duszę z pieluch dziecięcia
Tak szybko budzi-z? — mów!

Myśl.

O chyżéj! śmieléj! gdzie ziemski w dali
Z przed oczu znika glob,
Gdzie gwiazd ognistych łuna się pali,
Pod jasny niebios strop!
Uśpisz w mgle złotéj nadziemskich światów
Żywota ból i trud,
Gdy cię na puchu edeńskich kwiatów
Marzeń owionie cud.

Ja.

Stój!.. Gdy tam w złote arfy anieli
Zadzwonią mi do snu,
Co potem zajmie, co rozweseli,
Stęsknioną duszę tu?...
Niebieskie dźwięki któreż tu echo
Odwtórzyć zdoła mi?
Która mi z gwiazd tych błyśnie pociechą,
Gdy oko łzą się ćmi?...

Myśl.

O! choć raz wzbić się aż tam, pod słońca
Dyamentowe skry,
W téj się przestrzeni skąpać bez końca,
W modre owinąć mgły,
Choć jedną kroplę rosy natchnienia
Z niebieskich źródeł spić,
A po zbudzeniu, w burzy cierpienia,
Tych chwil wspomnieniem żyć!..

Ja.

Lećmyż więc kędy lot się twój zwrócił,
Spoglądać w oczy zórz,
Bóg ciebie iskro w pierś moją rzucił,
Nie zgasić mi cię już!..
Choć w koło trwożą widma złowieszcze,
Leć ze mną jasna, leć!..
Dokąd w mem łonie gorejesz jeszcze,
Świeć tęsknéj duszy, świeć!..

Utwór ten był podpisany skromnie, imieniem tylko „Marya". W liście było lękliwe zapytanie nieśmiejącego uznać swej potęgi talentu, czy te wiersze warte druku, czy warto dalej pracować, czy też złamać pióro na zawsze?

Domyśleć się łatwo jaka była odpowiedź. Wiersz się ukazał w jednym z najbliższych numerów krakowskiego „Dziennika Mód", zkąd go następnie przedrukowało jedno z pism lwowskich, z najszczerszem uznaniem talentu młodej autorki.

Na tem jednakże skończyło się na czas długi uznanie krytyki galicyjskiej. Przez dwa lata prawie w każdym numerze tego samego pisma ukazywały się poezye nieznajomej poetki, krytyka przecież milczała o nich jak zaklęta. A były pomiędzy temi piosenkami rzeczy prześliczne, dziwną świeżością, dziwnym urokiem woniejące. Oto naprzykład:

On mnie nie kocha.

..On mnie nie kocha!—
I ciężkie schyliła skronie,
W jej sercu głucho coś szlocha
Na słowa co dźwięczą w łonie:
On mnie nie kocha!

Przed nią na niebie
Gwiazdy tlejące łagodnie,
Smutnie mówiły do siebie:
Świecimy jak na pogrzebie
Blade pochodnie.

Anioł młodości
Stał przy niej łzawy cierpieniem,
Złote sny szczęścia, miłości
I wdzięczne mary przeszłości
Żegnał westchnieniem.

...I życia fale
W bieg ją uniosły nieścigły,
I w piersi zamknęła żale,
I łzy w kamiennym krysztale
W sercu przystygły.

Tylko na chwilę
Czasami głucho zaszlocha
Duch, co w pomroce i pyle
Duma na wspomnień mogile:
On mnie nie kocha!

Jakaż to urocza forma, jakie artystyczne ujęcie treści! Cała słowiczość Petöfiego, ale Petöfiego—kobiety. Nie znamy poety, któryby tak skończone utwory pisał na pierwszych kartkach swojego zbioru. Oto na dowód:

Odpowiedź.

Czylim kochała? — pyta świat,
Badawczy we mnie topiąc wzrok,—
Odpowie zwiędły życia kwiat,
Odpowie mu ten smutku mrok,
Co ćmił poranek moich lat.

Czylim kochała? — spyta on.
Gdy czas przeminie ciężkich prób,
Odpowie mu żałobny dzwon,
Pod cieniem brzozy cichy grób,
A w niej słowiczéj pieśni ton.

Czylim kochała? — spyta Bóg,
Gdy na ostatni wezwie sąd,
Z okwitłych ciernicm moich dróg...
A wówczas ten serdeczny błąd
Opłaci cały życia dług.

(D. n.)

OBIAD SKŁADKOWY.

HUMORESKA

Józefa Blizińskiego.

— Panowie, ja proponuję głosowanie...

— Po djabła głosowanie; projekt przeszedł przez akklamacyę!

— Nie mówię o samym projekcie, ale o składce, na którą się nie zgadzam.

— Co do składki, ja mam zrobić poprawkę,

— Pan Feliks ma głos jako oponent!

— Dobrze! ale po nim, ja.

— Zgoda! po panu Feliksie, pan Paweł wystąpi z poprawką.

— Więc słuchamy pana Feliksa.

Pan Feliks odchrząknął, i zaczął mówić:

— Panowie! przedewszystkiem nie łudźmy się! Obiad, panie dobrodzieju, z winem, po 2 ruble od osoby, jest, uważacie, mrzonką, której urzeczywistnienie leży po za obrębem...

— Za pozwoleniem! jeżeli co, to mocya

U OGNISKA.

VIII.

W tych dniach otwartem zostało w Warszawie „Biuro dla szukających pracy". Potrzeba takowego oddawna uczuwać się dawała i cała nasza prassa jednomyślnie przyklasnęła urzeczywistnieniu projektu, któremu pierwszorzędni nasi pisarze ekonomiczni poświęcali swoje pióra. Korzyści które zeń płynąć będą dla społeczeństwa, są zbyt widoczne, abyśmy potrzebowali nad znaczeniem ich rozszerzać się. Wspomnieć tu tylko musimy że założyciel biura p. Stefan Kossuth, redaktor „Technicznego Przeglądu", wprowadzając w czyn piękny zamiar, od tak dawna zajmujący wszystkie poważne i dobro ogółu mające na celu umysły, przystąpił doń najbezinteresowniej nie zakładając sobie osiągnąć z tego zysków osobistych. Tym sposobem zakład ten daje rękojmie, jakich żadne kantory stręczeń dotąd nie posiadały i posiadać nie mogą wcale. Podjąwszy się rzeczy, którą uważa za rodzaj missyi nieledwie, postanowił w licznem gronie pracowników wybierać tylko godnych polecenia. Oprócz świadectw zatem, któremi przedstawiciele pewnych fachów i zajęć szczycić się zwykli, biuro gorliwie bada przeszłość swoich klientów, zbiera najszczegółowsze o nich informacye i takich tylko poleca, których uważa za zupełnie zasługujących na dobrą rekomendacyę. Zaledwie kilka dni upływa jak instytucya działanie swoje rozpoczęła, a już liczy stu pięćdziesięciu zapisanych pracowników. Chodzi tylko o to, aby chlebodawców nie zbrakło. Tuszymy sobie, że obywatelstwo nasze tak wiejskie jak miejskie, poprze szlachetne usiłowania i jak najspieszniéj zgłaszać się będzie do biura, mieszczącego się pod Nr. 1064, lit. B. przy Nowo-Zielnéj ulicy, żądając ludzi jakich potrzebuje lub potrzebować może, ażeby tym sposobem dać sposobność utrwalenia się i rozwinięcia zakładowi, którego rozwój zapewnić może dla nich samych błogie skutki.

Urzeczywistnienie jednego dobrego życzenia, zachęca do nowych życzeń, które mają za cel szczególniejszy dobro mieszkańców Warszawy. Chcemy tu powiedzieć słów parę o *domach noclegowych*, tak nieodbicie koniecznych dla wyrobniczéj i biednéj klassy, niebędącéj w stanie posiadać stałych, miesięcznie z góry opłacanych mieszkań. Przedstawiciele jéj płatni dziennie, muszą mieć tanie lokale, któreby dziennie wynajmować byli w stanie. Idzie nam o pewien rodzaj hoteli, w których ceny regulować ma filantropia, a które jednakże nie będąc zakładem dobroczynnym, mogłyby wy-

pana Feliksa zdająca się dążyć do podwyższenia składki, leży po za obrębem możności naszych kieszeni...

— Brawo! brawo!

— Proszę o głos!—zawołał pan Paweł—do mnie należy dokończyć słów szanownego preopinanta, ponieważ właśnie kwestya niepodwyższania, a nawet jeżeliby się dało zmniejszenia składki, miała być celem mojej poprawki.

— Przepraszam! nie skończyłem! jeżelim, uważacie, powiedział: nie łudźmy się! to byłem w stanie, panie dobrodzieju, poprzeć to dowodami.

— A ja powiadam, że jeżeli chodzi o dowody, to przekonam, że nie tylko za dwa ruble, ale za rubla najem się do syta i napiję.

— Tak! u Eberlejna, na kiełbaskach!

— Najprzód, wyjeżdżanie panie dobrodzieju z Eberlejnem i kiełbaskami, uważam jako będące po za obrębem...

— Panowie! ja proszę o głos — odezwał się pan Aleksander — rozprawiacie bez żadnego ładu i systematu, a przedewszystkiem należy postawić jasno każdą kwestyę; i tak, pierwszą było, czy wypada nam uczcić Karola, translokowanego przez nasz zarząd...

— Wypada! wypada!

— Ośmielam się w tem miejscu przerwać mowę szanownego preopinanta i zwrócić uwagę, że zamiast rozjaśnić, zaciemnia kwestyę. Uczczenie Karola obiadem składkowym było jednomyślnie postanowione, i skutkiem tego postanowienia, zebraliśmy się tu dla rotrząsania...

— Proszę o przywołanie pana Pawła do porządku!

— Prawda! prawda! niech najprzód skończy pan Aleksander.

Z wielkim trudem, po mnogich sykaniach, zaprowadzono ład, i pan Aleksander kończył:

— Więc tedy, ponieważ co do uczczenia Karola obiadem nastąpiła jednomyślność, pozostają dalsze kwestye: *primo*, wysokość składki...

— Dwa ruble!

— Za mało panie dobrodzieju!

— Aż nadto!

— Za pozwoleniem! należy uwzględnić i pogodzić dwie konieczności: pierwszą jest wydanie obiadu, drugą oszczędność, którą nakazuje stan kieszeniowy większości.

— Co do drugiego punktu, ośmielę się zwrócić uwagę, że kto panie dobrodzieju może dać dwa ruble, nie zrobi mu różnicy dodać trzeci!

— To prawda!

— Niekoniecznie!

— Komu zaś to ma przyjść z trudnością, uważacie, może się wycofać.

Nastąpiła chwila milczenia, z której korzystając poprzedni mówca p. Aleksander, ciągnął dalej:

— Zatem proponuję, aby zamiast dwóch, ustanowić składkę na trzy ruble; za tę cenę można mieć obiad z winem, wódką i przekąskami.

— A ryby, panie dobrodzieju?

— Będą i ryby, ja to biorę na siebie.

— Zwracam uwagę szanownego preopinanta, że mówiąc o winie, miał na myśli zapewne tylko czerwone i stołowe białe; pozostaje więc, *primo*: piwo, bez którego się nie obędzie...

— To mała rzecz, będzie i piwo.

— *Secundo*: wino białe, ale nie to, o którem była mowa. Ma to być obiad uroczysty; podczas obiadu uroczystego z samej natury rzeczy będą toasty, a toasty bez wina szampańskiego, są nonsensem.

— Fiu! fiu! u was zawsze szumowiny w głowie.

— Tamten ma racyę, panie dobrodzieju; szampan jest konieczny, że jednak, uważacie, kwestya jego leży po za obrębem...

— Za obrębem czego?

— Pierwotnego planu, a zatem proponuję składkę dodatkową.

— Czyli, powiedzmy od razu, mamy dać po sześć rubli.

— Nie koniecznie; ustanówmy składkę na trzy ruble, a jeżeli się okaże potrzeba wina szampańskiego...

— Naturalnie że się okaże, panie dobrodzieju...

— Więc wnoszę, ażeby promotorowie tej idei zebrali pomiędzy sobą składkę dodatkową.

— Nie uchylam się, panie dobrodzieju...

— Proszę o głos! ponieważ nie chodzi mi o żołądek, ani podniebienie, tylko o dowód uznania dla Karola, zatem przystaję na minimum składki uchwalone przez ogół, a od składania dodatku uchylam się, dając uroczyste słowo, że szampana nie poważam.

— A czemże spełnisz toast?

— Czystą wodą, i ręczę że Karol przyjmie go tak samo jak wasze.

Po tem wzniosłem przemówieniu p. Pawła, znowu nastała mała pauza, z której jak poprzednio skorzystał p. Aleksander:

— Widząc—rzekł—że moja propozycya ustanowienia składki na trzy ruble z dodatkami od niektórych, zyskała ogólną aprobacyę, więc...

— Za pozwoleniem! robię mały dodatek: ja jestem za zasadą, i działam z zasady — zaiste nie zrujnowałby mnie wydatek kilku rubli, ale zbytku propagować nie myślę; zasadą moją oszczędność, więc za zasadę proponuję, abyjuż nie powiększać składki i z pojedynczemi wybrykami, jeżeli jakie będą, nie solidaryzować.

— Brawo, pan Paweł! brawo!

— Zwracam uwagę, że dodatek pana Pawła był niepotrzebny, ponieważ ja to samo miałem powiedzieć, a nawet powiedziałem, rzekł pan Aleksander.

— Zatem zgoda! zgoda!

Zebrano podpisy, ograniczono składkę do trzech rubli, pozostawiając każdemu indywidualną swobodę na wybryki, pod któremi rozumiano szampana — ogół wszakże zrzekł się solidarności z takowemi, czyli inaczej, mógł wypić jako przymuszony, ale płacić nie był obowiązany.

Składka złożona została na ręce p. Pawła, jako najoszczędniejszego, i jemu powierzono gospodarstwo, a obiad postanowiono za trzy dni, na godzinę czwartą.

---

chodzić na swojém i dawać nawet pewien procent od wyłożonego na nie kapitału. Tanie mieszkanie, podobnie jak tania strawa, są jednakowo potrzebne, a kto wie czy nawet z wielu względów moralnych, pierwsze nie są na razie ważniejsze od drugich. Niedrogiego jedzenia można dostać i w pierwszéj lepszéj „flaczarni“, kiedy przeciwnie, jeśli kto nie posiada miesięcznego, stałego lokalu, musi nocować pod niebieskiem sklepieniem, nader uroczem zaprawdę, osobliwie w lecie, kiedy szafir jego obsypują miliony gwiazd, ale które w zimie iskrząc się mroźnie, obudza w duszy nieszczęśliwych zgubne żądze, popychające do zbrodni i występku. To co pisaliśmy w zeszłym numerze „Ogniska“ o całych zgrajach nocnych złoczyńców, kryjących się w mniéj zaludnionych cyrkułach naszego miasta, jest prawie zawsze owocem braku dachu nad głowami. Zbudować go, byłoby czynem rozumnym. Pomyśleliśmy już od lat kilku o „Tanich Kuchniach“, i jakkolwiek takowe nie są w stanie kwitnącym, jakkolwiek nader wiele w nich i dla nich pozostaje do zrobienia, kilkoletniem swojem istnieniem świadczą one jednakże, że wkorzeniły się w zwyczaje miejskie i że prędzéj lub późniéj, muszą wzróść i rozwinąć się należycie. Teraz koléj na *tanie mieszkania* w noclegowych domach; — zacznijmy od końca tym razem. Poświęćmy szczodrze grosz wsparcia i jałmużny i nie czekając na chwilę sposobną do budowania taniego karawanseraju,—co późniéj, po dłuższem namyśle da się uskutecznić,—wynajmijmy pierwszą lepszą kamienicę, gdzieby biedny wyrobnik, student, rzemieślnik, ubogi interessant przybyły z prowincyi, mogli przenocować za szczupłem wynagrodzeniem. Dla panów Krezusów, których mamy wielu w Warszawie, będzie to łatwy sposób przekonania o swéj szlachetnéj dobroczynności i zajęciu się sprawami społeczeństwa. Jeśli zaś przez to, uratują choćby jednego tylko członka ludzkości, błogosławić będziemy wszyscy dachowi opiekuńczemu i wspaniałej dłoni, co go rozpostarła nad głowami „nędzarzy“, którym, bez nocnego schronienia, tak łatwo zostać *nędznikami*.

W dwóch poprzednich felietonach z kolei, pisaliśmy o *pracy kobiet*, to poruszając kwestyę warszawskiego *Bazaru*, to znowu *zakładu* pani Parczewskiej w Kaliszu. Nie chcąc być niesprawiedliwemi dla innych miast i osób, rodzaj odezwy, czyli korespondencyi, otrzymanej z *Pracowni kobiet* w Włocławku, nadesłany nam uprzejmie, prawie dosłownie tu przepisujemy, mniemając że baczność w tym kierunku nigdy nie będzie za wielką, i że wszystko co tylko najobszerniej da się w téj kwestyi powiedzieć, będzie stosownem i zajmującem dla czytelniczek „Ogniska“. Oto co pisze do nas kierująca włocławską pracownią:

„Praca niezmiernie ważną odgrywa rolę

Gdy wszystko załatwiono, p. Feliks wystąpił jeszcze z dodatkiem:

— Panowie!—rzekł—obiadem tym, uważacie, chcemy uczcić Karola i jego użyteczną panie dobrodzieju działalność w naszem kółku — inaczej, chcemy mu zrobić przyjemność czyli niespodziankę. Otóż, uważacie, niespodzianka przestałaby być niespodzianką, gdyby była spodziewaną; niechże więc, panie dobrodzieju, solenizant nic o tem nie wie. Proponuję, żeby pary z ust o tem nie wypuścić i zachować, uważacie, najgłębszą tajemnicę.

— Zgoda! zgoda! dobra myśl!

. . . .

W trzy dni po owem posiedzeniu, o godzinie czwartéj jak było umówione, w sali jednéj z lepszych restauracyj, zebrało się całe grono; składało je dwadzieścia kilka osób.

Większość przysposobioną była należycie do tak ważnéj czynności, jaką był obiad składkowy z winem, czyli mówiąc krócéj a jaśniej, była na czczo—dla tego niewielki stolik stojący na uboczu, a zastawiony flaszkami z wódką i zakąskami rozmaitego rodzaju, był punktem, na który głównie zwracała się uwaga owej większości. Ale cóż ztąd, kiedy pomimo całéj gotowości, nie wypadało przypuścić doń szturmu, dopóki nie przybędzie solenizant, — a jak na złość nie było go widać.

Większa część zebranych zaczęła spoglądać na zegarki, a p. Paweł, gospodarz i promotor oszczędności, a zatem nic w ustach od rana nie mający, oprócz kilku szklanek herbaty z cytryną, ustawicznie rachował palcami obecnych, zaczynając za każdym razem od innéj strony, — miał bowiem wątpliwość czy się nie omylił, i czy solenizanta niema gdzie w tłumie.

Wybiło pół do piątéj, solenizanta ani oko. Kilku z niecierpliwych poszło do bufetu, i extra składki, za gotowy grosz wydobyty z nosigroszów, wypiło po kieliszku wódki i przejadło coś na prędce, byle zaspokoić apetyt.

O trzy kwadranse na piątą, liczba niecierpliwych posilających się na stronie urosła w dwójnasób.

Nareszcie wybiła piąta!

Towarzystwo nie wiedziało co o tem myśleć; jedni zachowywali ponure milczenie, drudzy klęli, inni wreszcie zapuszczali się w najnieprawdopodobniejsze hypotezy, gdy nagle wśród gwaru dał się słyszeć dobitny głos:

— Panowie!

Odezwanie się to zrobiło pewne wrażenie, był to bowiem głos pana Piotra. P. Piotr znanym był z swojéj małomówności; w towarzystwie, siedział zazwyczaj milczący, jakby mu gębę zamurowano; wprawdzie przy stole nie zamykała mu się, ale to nie czyniło go bynajmniej wymowniejszym.

Za to, gdy się odezwał, słowa jego warte były miliony; długo myśląc, miał czas przetrawić w sobie zdanie, było ono więc niezbite; nieubłagana logika nadawała jego słowom wagę nieocenioną. Więc też gdy wymówił: „Panowie!“ wszyscy zwrócili na niego uwagę, będąc przekonanymi, że głos p. Piotra rozstrzygnie kwestyę.

— Panowie!—rzekł tedy p. Piotr—wszak daliśmy sobie słowo, że zamiar uczczenia obiadem Karola, zachowamy przed nim w tajemnicy, aby mu zrobić niespodziankę. Czy przypadkiem nie wygadał się kto przed nim?

— Ja nie!

— Ani ja! ani ja!

— Bardzo dobrze. Ale koniec końcem trzeba go było uwiadomić; ośmielę się za pytać, kto z panów to zrobił?

Nastało ogólne milczenie.

— Nikt mu nie dał znać? Pozwolę sobie wyprowadzić ztąd wniosek, że wcale nie przybędzie.

Prawda ma to do siebie, że jasnością swoją olśniewa i zdobywa uznanie bez oporu.

Było rzeczą widoczną, że pan Piotr miał racyę: pana Karola nie było się co spodziewać—ale co robić? obiad był gotów, składka złożona.

Ktoś zaproponował, żeby wysłać do niego deputacyę; wniosek przyjęto przez aklamacyę, ale okazała się trudność znalezienia deputata. Każdy uchylał się od tego honoru, nie chcąc opuszczać stołu, i najrozmaitsze zdania dały się słyszeć.

Aż nareszcie p. Feliks zawołał:

— Uważacie, panie dobrodzieju, ja stawiam wniosek, aby przedewszystkiem, dla nabrania sił do dalszéj dyskusyi, skonsumować to co zastawione na tym stole; jeżeli solenizant przybędzie, każemy podać inne zakąski.

Wniosek był tak trafny, że obył się najzupełniej bez głosowania i ku wielkiemu zmartwieniu oszczędnego p. Pawła w mgnieniu oka zmieciono wszystko zo stolika.

Wtenczas dopiero ktoś z wytrzymalszych ofiarował się na deputata, zawarowawszy sobie jednak najmocniej, aby zaczekano nań z obiadem.

. . . .

W dziesięć minut powrócił, ale sam.

Pan Karol nie mógł przybyć dla tej prostéj przyczyny, że nie wiedząc o niczem, przyspieszył dzień wyjazdu i opuścił Warszawę przed dwiema godzinami.

. . . .

Obiad musiał się odbyć bez solenizanta.

Po kilku kieliszkach wina, gdy serca się rozgrzały i zaczęły wychodzić na usta, pan Feliks powstawszy, zagaił rzecz jak następuje:

— Panowie! mamy tu w naszem gronie panie dobrodzieju osobistość, która nam dała wielki przykład! Osobistością tą jest autor projektu niesolidaryzowania z wybrykami jednostek, mąż z którym miałem zaszczyt polemizować na poprzedniem zebraniu, i być przezeń panie dobrodzieju pobitym, słowem, nasz obecny gospodarz, pan Paweł.

W tem miejscu p. Paweł czuł się obowiązanym powstać, co uczynił z całą skromnością.

— Różniłem się z nim w zdaniu — mówił dalej p. Feliks — albowiem jestem, uważacie, facet nie mający wyobrażenia o oszczędności—bądź co bądź, przyznaję tej cnocie

---

w ustroju społecznym, jej dalszy rozwój jest podstawą szczęścia osobistego i rodzin całych. Wszędzie potrzeba jej uczuć się daje, ale dążności i usiłowania nie wszędzie jednakie. Zwiedzając przed parą miesiącami zagraniczne pracownie kobiet, wielką między niemi znalazłam różnicę. Berlińskie zakłady celują więcéj wszechstronnem wykształceniem, paryzkie specyalnem. W berlińskich szycie bielizny, krój, stroje, buchalterya, w najwyższym są rozwoju; zwłaszcza buchalterya, na któréj wykład trafiłam, niezmiernie mnie zajęła. Kilkanaście uczennic pilnie i starannie robiło notatki w czasie wykładu nauczyciela, znać że je przedmiot żywo zajmował, nawet nie zwracały uwagi na przybyłe osoby. Bo też to nauka nie małej wagi w życiu praktycznem, sprowadza z dziedziny marzeń na nasz nizki padół, gdzie smutna nie raz rzeczywistość urąga marzeniom a obliczać się i rachować każe. Niechby i nasze młode panienki połamały sobie trochę główki, to by im niezmiernie warunki finansowego bytu ułatwiło. Szycie bielizny, jak mówiłam, ręczne a szczególniej maszynowe, do wysokiego posunięte stopnia; lecz stroje i kwiaty nie celują gustem, więcej tam systematyczności, jak dobrego smaku, ale za to umysłowej nie zaniedbują strony, kształcą się prywatnie i te pozaplanowe lekcye bynajmniej nie przeszkadzają ręcznéj pracy, a wszechstronnie kształcą. Zupełnie przeciwny system znalazłam w Paryżu tam specyalność do wysokiego posunięta stopnia, niezmiernie wznosi fabryki, a pochłania jednostki; ze zdziwieniem przekonałam się, że nawet artystki kwiaciarki, pisać nie umieją; zgorszoną byłam takiem nieuctwem. Taka specyalność nie wystarczającą jest dla rodzinnego i społecznego życia. Są to gałązki, które kiedykolwiek od pnia fabryki oderwane, uschnąć muszą. Pod względem moralnym jeszcze większe straty. Młoda wyobraźnia porzucona bez steru, smutnego rozbicia bywa widownią, a rozum i sumienie, te światełka Boże, błyszczące na tle duszy człowieka, ta anielska strona natury ludzkiej, w zupełnem zaniedbaniu, krzywdzi jednostki, a więcej jeszcze rodziny całe. Najkorzystniejszą gałęzią kobiecego przemysłu w Paryżu są wyroby kwiaciarskie; miasto prowadzi nimi handel z całym znajomym światem, a przezeń niezmierne bogactwa na kraj spływają. Szczególniej Ameryka dostarcza olbrzymich obstalunków. Obecnie na wystawę do Filadelfii zamówiono nader wiele, w znaczniejszych fabrykach paryzkich, przeznaczając dla pracownic bezpłatne mieszkania na cały przeciąg trwania expozycyi. Lecz co jeszcze na pochwałę zagranicznych zakładów powiedzieć można, że mają ogólne uznanie i opiekę najpierwszych w kraju osób, dla tego szybko wzrastają i potęgują się niesłychanie. Nie dostrzegłam we Francyi ani nędzy ani ubóstwa. Ciężko wprawdzie ogół pra-

panie dobrodzieju, wielką doniosłość! Oszczędnością stoją społeczeństwa! oszczędność jest dźwignią olbrzymich rezultatów! niech mi się więc godzi, panie dobrodzieju, zaproponować wniesienie na pierwszem miejscu zdrowia jej promotora, szanownego pana Pawła!

— Niech żyje! — zawołali wszyscy powstając.

— Za pozwoleniem! — ciągnął dalej mówca trzymając w jednej ręce butelkę czerwonego w drugiej francuzkiego białego — mamyż, panie dobrodzieju, spełnić tak szanowne zdrowie tym atramentem albo prostą deszczówką?

— Brawo! brawo!

— Proponuję więc...

Ale nie skończył, bo mu przerwał pan Paweł.

W cóż się obróciły zasady tego męża i jego projekta oszczędności? Pod wpływem pochlebnych słów p. Feliksa, stajały jak śnieg na wiosennem słońcu; przerwał mu więc z pobłażliwym uśmiechem i skinąwszy na służbę, zawołał:

— Szampana!

. . . .

Obiad skończył się o ósméj. Gdy przyszło do obrachunku, wypadło na każdego współbiesiadnika rsr. 7 kop. 50 składki; ale też z ogólnéj summy dano służbie kilka rubli, oraz opłacono telegram do Karola, którego zdrowie pito aż trzy razy wśród ogólnego rozczulenia.

NA MYLNEJ DRODZE,

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA,

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg. — Patrz Numer 57).

— Gdybym wiedział przynajmniej gdzie ich szukać, tobym konie posłał.

Wanda się zaśmiała.

— A to dobre, więc zkądże ja o tem wiedzieć mogę? Mówiła racyonalnie, pan August poczerwieniał, chciał coś powiedzieć ale się wstrzymał i zwrócił się do stojącego ciągle przy drzwiach służącego, chcąc wydać jakieś rozporządzenie, kiedy na schodach ozwał się płacz jedenasto miesięcznej Julci i weszła bona francuzka, wykrygowana i fertyczna, z podfarbowanemi oczami i brwiami, wypomadowanemi ustami, bardzo podejrzana postać, ale rodem z Paryża; — trzymała za rękę trzyletniego Edzia, za nią szła mamka wystrojona, niosąc okrytą koronkami i batystem śliczną dziecinę, która w téj chwili z posiniałą od chłodu buzią i rączkami zanosiła się od płaczu. Pan August powiedział z żywością do bony:

— Ależ moja panno, cóż wam do głowy przyszło ażeby na takim chłodzie trzymać dzieci tak długo!

— Mais je ne suis pas un animal de rester toujours enfermée dans une cage de ce pays là, odpowiedziała hardo wychowanica bulwarów paryzkich.

— Il me semble mademoiselle, qu'avant tous vous devriez remplir votre devoir, powiedział surowo pan August do żywego zirytowany.

— Ah ça! par exemple, vous n'avez qu'à me renvoyer, je ne demande pas mieux, zawołała gburowato opiekunka młodego pokolenia i wyszła z pokoju szastając się zaperzona.

— Mój Auguście, jak to można tak niedelikatnie traktować cudzoziemców u siebie w domu, c'est inouï! wymówiła Wanda.

Pan August nic nie odpowiedział na to, ale zwrócił się do Edzia, który sam jeden już tylko pozostał.

— Dla czegożeś ty przynajmniej Edziu nie upominał się ażebyście wracali.

— Prosiłem papo, odpowiedział łzawo chłopczyna, mnie się tak jeść chciało i zimno mi było, mamka także mówiła pannie Martin ażeby wracać, ale brat panny Martin dał mamce taki piękny pieniądz srebrny, mamka kupiła za trzy grosze pierniczek dla mnie i zostaliśmy.

— A to dowiadujemy się ślicznych rzeczy! zawołał pan August; więc jeszcze w dodatku i jakiś brat panny Martin się znalazł.

— A znalazł się, powiedział naiwnie Edzio.

— Otóż na co się naraża dzieci, zostawiając je tak bez dozoru.

— Już też nie bez dozoru, jeżeli miały i bonę i niańkę przy sobie.

— Moja Wando, chyba ty w tej chwili zupełnie o czem innem myślisz! zawołał zdziwiony pan August; przecież masz oto najjaśniejszy dowód, pod jaką opieką były przez cały ranek dzisiejszy, wszak słyszysz co Edzio mówi.

— A! jeżeli myślisz wierzyć w to co takie dziecko mówi!... A ja ci zaręczam że Martin jest trochę roztrzepaną jak wszystkie francuzki, lecz pomimo to najlepsza to dziewczyna, akcent ma wyborny i jak zechce to tak zabawi dzieci że ich ani słychać.

Pan August popatrzył na żonę, ścisnął ramionami i nie powiedziawszy już nic więcej, odwrócił się ku oknu.

Dano do stołu; państwo Augustowie zasiedli naprzeciw siebie. Zastawa była elegancka, składały się na nią srebro, pięknie szlifowane szkło i przepyszna porcelana z herbami gospodarzy domu. Pomimo to wszakże pozornie podane potrawy, znać pozostawiały wiele jeszcze do życzenia, bo pan August jadł wyraźnie z pewnym przymusem,

— To dziwna rzecz, powiedział nakoniec odsuwając z niechęcią talerz, jak my nie dobrze jadamy.

— O! to potrzeba sobie wyperswadować i pogodzić się z tem, że u nas w kraju nie można mieć tak dobrze przyrządzonego jedzenia jak za granicą, rzekła na to Wanda.

— Tego nie przyznam wcale; za granicą restauracye, mianowicie w niektórych miastach, istotnie są lepsze od naszych, ale kuchnie domowe, francuzka, niemiecka, włoska, ani się równać nawet z naszą nie mogą. Ja tu we wszystkich domach gdzie bywam jadam, wybornie; wczoraj naprzykład u hrabiny P. tak był smakowity obiad, że zadowolniłby najbardziej wymagającego gastronoma, u siebie

---

cuje, bo dwanaście godzin dziennie, ale za to chociaż przez wojnę narażony był na ogromne straty, bynajmniej niedostatku nie czuje; złota i srebra pełno, bogactwa niewyczerpane. Praca to ogromny kapitał; który znaczne przez całe życie daje procenta. Zwykle gdzie zbytek swym zaraźliwym wionie oddechem, gdzie zaleniwieją ręce i umysł zniedołężnieje, tam straszne ruiny moralne i materyalne. W celu większego rozwoju pracy kobiet w kraju, parę razy robiłam odezwę do naszych obywatelek, chcąc je zachęcić do współudziału, chociażby tylko w nadsyłaniu obstalunków i zdolnych uczennic pracowniom krajowym, tym sposobem ubogie panienki znalazłyby sposobność kształcenia się, praca rozpowszechniłaby się wszędzie, a szanowne opiekunki zbudowałyby sobie pomnik, trwalszy nad wszelkie wspomnienia, bo wyryty w sercach wdzięcznych rodaczek. Gdy każda krajowa pracownia, w swojem kółku, opieką się wzmocni, a pojedyncze usiłowania w całość się zleją, dorównamy zagranicznym zakładom, bo nam na zdolnościach i dobrych nie zbywa chęciach. W celu ułatwienia Opiekunkom współudziału, zniżyłam cenę o 75 rubli taniej jak płacą inne uczennice. Bezwątpienia rozpowszechnienie rzemiosł otworzy więcéj dróg działania w zakresie prac kobiecych, poda narzędzie chlebodawcze do ręki, wolniuchno odwiedzie od marzeń o katedrze filozofii i emancypacyi, a postawi kobiety na stanowisku odpowiedniem ich zdolnościom i potrzebom. Może też z czasem jakaś myśl szczęśliwa zabły śnie w poczciwem sercu i stypendyum dla ubogich obmyśli. W tej nadziei że owa pożądana myśl zabłyśnie, na czwarty rok istnienia pracowni otworzyłam bezpłatne kursa szewctwa i introligatorstwa. Znosząc opłatę wpisową nadmieniam, że przychodnie uczennice są wolne od wszelkiej opłaty, pensyonarki zaś chcące się uczyć wyłącznie rzemiosł, płacą tylko za stancyę i życie rsr. 15 miesięcznie. Nadto otworzyłam niedzielną szkołę, bo jakoś przy świetle głowy jaśniej rękom, korzystniej wtedy kierują łodzią potrzeb i obowiązków. Języki, rysunki i buchalterya pierwsze zajmuje miejsce, jako konieczne warunki fachowego uzdolnienia. Za wszechstronną naukę, życie i stancyę płacą pensyonarki rsr. 20 miesięcznie, oraz rsr. 25 na cały pobyt, tytułem wpisowego."

Zamieszczając powyższą korespondencyę dajemy miarę jak gorąco zajmujemy się rozwojem pracy kobiecéj, i jak szczere pismo nasze w tej sprawie chce być jej organem. Powtarzamy zatem raz jeszcze, że odwołujemy się do naszych czytelniczek, prosząc o nadsyłanie swoich poglądów w tym względzie, a nie tylko felietonowy dział, ale i górne sfery „Ogniska" otworzymy dla nich chętnie.

---

tylko tak jestem nieszczęśliwy że nigdy obiadu jak się należy nie jadłem.

— Istotnie że to wielkie nieszczęście, odpowiedziała śmiejąc się szyderczo Wanda.

— Niewłaściwie może wyraziłem się nazywając to nieszczęściem, lecz że to jest wielką nieprzyjemnością życia, to pewno.

— Jeżeli o to tak bardzo chodzi, należy zmienić kucharza.

— A mój Boże! wszakżeż zmieniamy co miesiąc prawie, bierzemy najbardziej znanych z umiejętności, a jednak te kulinarne niedorzeczności jakie się dzieją na naszych proszonych obiadach, z pewnością u nikogo się nie trafiają.

— Jakież to niedorzeczności, jeżeli wolno zapytać?

— A któż je wszystkie wyliczyć jest w stanie; przypomnę ci tylko ten ostatni u nas obiad, na którym wszystkie potrawy były białego koloru; więc zupa à la reine, paszteciki z mózgu w konchach, jakieś dwa mięsa na biało, ryba w białym majonezie, wreszcie crême glacée białe; i gdyby nie bażanty co się trochę na tem tle rumieniły, można byłoby pomyśleć, żeśmy się sprzysięgli tego dnia na biały kolor.

Wanda się śmiała.

— A prawda, że to było zabawne, na razie nie zauważyłam tego, ale przypominam sobie żeś był oburzony.

— Spodziewam się, aż mi krew do głowy biła, bo też gości zaprosić na to, ażeby ich jak na szykanę tak na biało utraktować, to trochę za wiele.

— Potrzeba było to ostro wymówić kucharzowi przynajmniéj.

— Naturalnie wymawiałem mu to, ale cóż z tego kiedy się wytłómaczył że podał tobie dwa spisy potraw do wyboru, a tyś właśnie ten podpisała.

— Bardzo być może żem podpisała, ale naturalnie nie czytając jéj wcale.

— Otóż to właśnie! nie byłoby tego wszystkiego, gdybyś ty moja Wando chciała wglądać więcéj trochę w porządek domowy.

— Ja?! miałabym umysł takiemi błahostkami zajmować?! Wiesz co, że nie rozumiem nawet jak ty możesz mój Auguście taką propozycyę wypowiedzieć.

— A dla czegóżby nie? wszakżeż wiele innych pań z naszego towarzystwa, pani P. naprzykład, wiem z pewnością że sama się zajmuje i wydaje wszystkie rozporządzenia co do zarządu domowego, pomimo swojéj milionowéj fortuny i wysokiego stanowiska jakie w towarzystwie zajmuje.

(*D. c. n.*)

ZDOBYCIE GRENADY.

Opowiadanie historyczne.

(Ciąg dalszy.)

XI.

5 stycznia 1492 r. szczupły orszak jezdnych, wraz z kilkudziesięciu wozami, wyruszył z pierwszym brzaskiem jutrzenki z Alhambry i stanął za jej bramami. Była to rodzina emira wraz z jego bogactwy, oraz z niewielką garstką domowników, którzy przy nim do ostatka wytrwali. Za niemi postępował konno sam Abdalah-el-Zoggoybi i kilkunastu wodzów wiernych mu do końca plemion arabskich, niedolę jego dzielić pragnących.

W tej saméj chwili świetna i strojna kawalkada ukazała się od strony gór. Był to król Ferdynand i małżonka jego Izabela, wraz z księżniczkami i dworem wspaniałym; poprzedzał ich biskup Avili Hernando de Talavera, wraz z licznym mnichów orszakiem; za niemi całe zbrojne i świetne rycerstwo chrześciańskie postępowało ścieśnionemi szeregi. Zwycięzcy i zwyciężeni stanęli wkrótce naprzeciw siebie o jakie sto kroków, wtedy za danym przez emira znakiem, chorągiew Proroka, która dotąd powiewała na murach Alhambry, schyliła się i upadła, a na jej miejscu zabłysnął wielki krzyż srebrny, obok sztandaru połączonych koron Kastylii i Aragonii. Na widok tego boskiego godła zbawienia i zwycięztwa, okrzyk radości wyrwał się z tysiąca piersi chrześciańskich, a duchowieństwo zaintonowało hymn dziękczynny, któremu całe rycerstwo zsiadłszy z koni, klęcząc odpowiadało. Następnie król Ferdynand i emir zbliżyli się do siebie.

— Królu — rzekł Abdallah drżącym głosem, oddając mu klucze Grenady — oto się skończyła władza Arabów na ziemi hiszpańskiej. Do ciebie należy mój kraj i dziedzictwo mych przodków, moja władza i moja osoba. Tak było zapisane w wyrokach boskich i ja schyliłem czoło przed wolą Ałłaha. Ty królu, czerp naukę z mego upokorzenia i bądź wiernym twym obietnicom.

Król Ferdynand wzruszony widokiem takiego nieszczęścia, uściskał emira i dodawszy mu straż dla bezpieczeństwa, rozkazał odprowadzić go wraz z całym jego orszakiem do zamku w górach Alpuharry, który emir na siedzibę swoją obrał. Smutny ten hufiec wygnańców i upadłéj wielkości, puścił się w drogę natychmiast. Gdy już wierzchołki minaretów Grenady ginąć w oddaleniu zaczynały, Abdallah zatrzymał konia, by raz jeszcze spojrzeć na ten raj ziemski, — na stracone swoje dziedzictwo, i zapłakał gorzko.

— Tak, płacz jak niewiasta — szepnęła gniewnie stara Aisha matka jego — płacz za tem pięknem królestwem, któregoś nie umiał bronić jak mężczyzna.

XII.

Król Ferdynand Katolicki objął w posiadanie miasto Grenadę i kraj doń należący. Na miejscu spotkania się z emirem kazał wystawić kaplicę pamiątkową, która do dziś dnia stoi; pragnął on łagodnością postępowania zbliżyć do siebie mieszkańców Grenady; lecz trudno im było słuchać znienawidzonych Giaurów. W przeciągu lat trzech wszyscy zamożniejsi Maurowie, korzystając z warunków kapitulacyi, zrealizowawszy bogactwa swe, wynieśli się do pobratymczych państw Afryki, wielką tym sposobem zadając klęskę przemysłowi i bogactwu Hiszpanii. Sam emir Abdallah, następnego

---

Praca — tylko praca — odstraszyć może okropne widmo nędzy. A ileż to razy spotkać się z niem można w biały dzień nawet, — na poddaszu, w ciemnych suterenach domów, na zaułkach naszego pięknego i bogatego miasta, na ulicy wreszcie. Spojrzyjcie tylko na pogrzeby ubogich. Ile to razy śmierć męża, pozostawia wdowę i sieroty bez kawałka chleba. Niedawno — przypadkiem — spotkaliśmy ubogi karawan, zmierzający na Powązki. Szła za nim nieszczęśliwa kobieta, prowadząca za rączkę kilkoletniego chłopczyka. Odzież jej świadczyła, że może ostatnie ciepłe okrycia sprzedanemi zostały na oddanie ostatniej posługi ukochanemu mężowi. Na spokojnéj i wynędzniałej twarzy malowała się boleść niezmierna, chociaż ani jedna łza spływająca po licach nie dawała o niej świadectwa. Malec nie rozumiał ogromu niedoli. Nie szczebiotał jednak, ani się uśmiechał, bo ile razy spojrzał w oczy matki, czytał w nich taką ponurą powagę, że i dziecięca główka schylała się na piersi, i po jego myślącem, ładnem czole, przesuwały się chmury smutku i żalu. Wtem, na Nalewkach, wybiegł czarny, unurzany w błocie, kundel. Wychudłe jego boki świadczyły, że nieludzki jakiś właściciel morzył go głodem. Chłopczyk zaląkł się w pierwszej chwili, ale widząc że pies spokojnie obok niego kroczy, małą rączyną pogłaskał go po głowie. Poczciwe zwierzę, jakby zrozumiało przyjacielski kares sieroty, lizaniem dziękowało mu za życzliwość i litość. Jakaś żebraczka podążająca o parę kroków za pogrzebem chciała psa odgonić, ale wówczas wdowa, spoglądająca na tę scenę, oparła się temu, a wasz najniższy sługa, — może słuchem duszy, — dosłyszał wyrazy wyszeptane tak cicho, że ledwie się od nich poruszyły nieme dotąd wargi strapionéj matki:

— Nieszczęśliwi rozumieją się i poznają łatwo. Poczciwy psie, odtąd należysz do nas.

Na rogu wyginającej się półkolem ku cmentarzowi ulicy, znikli nam z przed oczu *troje*, ale w myśli pozostał obraz niezatarty i zastanowienie się pełne zadumy. Jak też ta biedna kobieta będzie musiała pracować, powróciwszy z Powązek, ażeby wyżywić siebie, dziecko i nowego przyjaciela, który przyszedł w czasie pogrzebu nędzę jej podzielić. Czy umie tyle aby mogła pracować z korzyścią? Czy społeczeństwo obmyślało stosowne zajęcie dla opuszczonych nagle żon? Czy zapewniło im naukę pracy?

(*X—i.*)

zaraz roku po swej abdykacyi, wyrzekł się obszernych włości i niezmiernych dochodów, które pobierał ze skarbu hiszpańskiego, a zaniósł prośbę do króla Ferdynanda o dozwolenie przeniesienia się do Afryki.

Ferdynand Katolicki z chęcią przystał na oddalenie się ex-monarchy maurytańskiego, gdyż obecność jego w pobliżu dawnych poddanych, była powodem ciągłego niepokoju, i mogła wcześniej lub później podniecić ich do groźnego i krwawego wybuchu. Kilka więc okrętów zostało oddanych do rozporządzenia Abdallahowi, i tenże wraz z całą rodziną i dworem przewieść się kazał na brzegi państwa Maroko, gdzie władał Muley-Ahmed, blizki jego krewny. Tu znalazł uprzejmą i serdeczną gościnność, której używał trzydzieści cztery lata. W tym bowiem czasie poniósł śmierć chwalebną na polu bitwy, walcząc za tron i władzę swego dobroczyńcy, przez najezdników zagrożoną.

— „Dziwna rzecz!—powiada wyżej wspomniany kronikarz de Agapida—upadły monarcha, któremu zabrakło odwagi by umrzeć na tronie swych przodków, przelewa swą krew za cudzą sprawę! Serce ludzkie jest tak niezbadane jak i przeznaczenie!“

Morderstwo Abenserragów i proces Alfaimy, stały się tłem, na którem wyobraźnia ludowa tysiące legend osnuła, tysiące utworzyła pieśni, które do dziś dnia z ust do ust powtarzane, krwawy cień rzuciły na postać ostatniego pana Grenady. Kronikarze atoli współcześni nie potępiają go tak bezwzględnie.

— „Panowanie jego — mówią oni — nie było pozbawione czynów szlachetnych, a okrutnym był tylko wtedy, gdy mu się we własnych nieprzyjaciołach nieprzyjaciół ojczyzny widzieć zdawało. Odwagi osobistej miał wiele, lecz zabrakło mu tej moralnej siły, która z przeciwności nawet korzystać umie, by je na swój obrócić pożytek. Jedyny zarzut prawdziwy, który uczynić mu można, jest ten, że zapomniał iż wódz wielkiego narodu może być strącony z tronu, lecz *zejść* z niego nie powinien.“

Zofia Horochowa.

Pietnaście dni na wybrzeżach Gangesu.

(Wyjątki z dziennika podróży A. M.)

(Dokończenie.)

Około godziny dziesiątej rano weszliśmy w zarośla. Wyznaję że nie byłem wolny od pewnego rodzaju niepokoju, znalazłszy się w tem siedlisku dzikiego zwierza, wśród krzewin i trawy, nieraz równie wysokiej jak słoń, na którym siedziałem z panem Stewens i rządcą majora. Mieliśmy się zatrzymać dopiero u wejścia do tamarinowego lasu, widzianego zdala. Hyeny i szakale wystraszone naszem przejściem uciekały wyjąc żałośnie. Dzikie koty wypłoszone z legowiska, rzucały się co chwila na trąby słoni, które wtedy jednem naciśnięciem dusiły je i odrzucały na bok jak natrętne muchy. Od czasu do czasu aligatory zbudzone w swych bagnach, podnosiły potworne głowy, a spostrzegłszy nas chowały je pospiesznie. Zbliżając się do lasu przebyliśmy wbród niewielką rzeczułkę. Na jej brzegach były widoczne ślady stóp tygrysów, a około gęstych zarośli trzciny bambusowej, zwykłego miejsca ich schronienia, bielały kości bydląt pożartych téj nocy. Major dał znak aby się zatrzymać. Cała karawana stanęła jak wryta. Słonie na których były nasze namioty umieszczono w tyle, przykazując ich przewodnikom aby się nie ruszali z miejsca; jakkolwiek bowiem major dał nam broń do ręki, mieliśmy przykaz nie używać jéj jak chyba w razie potrzeby osobistéj obrony, aby nie psuć porządku nieumiejętnem zachowaniem się w czasie walki. Mieliśmy stać na niewielkiem wzgórzu, zkąd widać było doskonale wszystkie ruchy myśliwców. Sześć słoni z Sawraną na czele posunęło się naprzód. Przed niemi biegli ludzie z kasty Malisów, mający wystraszać tygrysa z jego legowiska a następnie ukrywać się po za słonie. Wybrawszy gęstą zarosłą trzcinową kępę, wepchnęli w nią swe długie piki zakończone żelazem. Zaledwie potem zdołali w bok uskoczyć, rozległ się ryk straszliwy i ogromny tygrys królewski wyskoczył z zarośli. Zabierał się rzucić na napastników, gdy cztery celne strzały położyły go trupem. Sawrana nie drgnął nawet. Podniósł tylko trąbę aby się bronić w razie potrzeby. Na odgłos strzałów, cztery inne tygrysy wypadły z zarośli i rzuciły się na słonie. Dwa z nich pochwycone prawie w powietrzu trąbami, na śmierć ztratowane zostały. Jeden uczepił się na głowie słonia tak, że ten chcąc go się pozbyć rzucił się na ziemię i zgniótł go swym ciężarem. Czwarty tygrys, mniejszy od poprzednich bo podobno kilkomiesięczny, przerażony zgiełkiem i hałasem umknął do lasu. Walka z jego poprzednikami nie trwała dłużej nad 15 minut i odbyła się bez żadnego wypadku, pomimo że padło czterech tygrysów. Sądziłem się być pod wrażeniem sennego złudzenia. Słonie przejrzały bliższą część lasu, lecz tygrysów tam już nie znalazły. Skoro tylko Malisy ściągnęli skóry zabitych zwierząt, major oświadczył damom że muszą powracać do Magna, gdzie już czekała z obiadem pani Daly. Pani Jacolliot i jéj towarzyszka nie chciały na to z początku przystać, mówiąc że chętnie zanocują w lesie aby być świadkiem dalszego ciągu polowania, w końcu jednakże dały się przekonać że to niepodobna, ze względu na ambaras jaki sprawiały myśliwym, którzy musieli straż przy nich trzymać. Zważywszy że nie na wiele się przydam, nie będąc ani zapalonym myśliwcem ani wprawnym do podobnego polowania, gospodarz zatrzymał przy sobie mężów obu pań, mnie zaś polecił im towarzyszyć w powrocie. Wyznaję, że nie gniewałem się o to, bo wstyd mi było być dłużéj nieczynnym świadkiem całéj wyprawy, nie podzielając niebezpieczeństwa na które się wystawiali moi towarzysze. Zanim wybraliśmy się z powrotem, panie chciały widzieć koniecznie, czy myśliwcy noc przepędzą bezpiecznie. Musiano więc zaraz rozbić namiot na wzgórzu które było głównym punktem naszych obserwacyj, a potem ustawiono do koła na straży słonie, któremi dowodził niejako Sawrana i Soupremary. W ten sposób wszyscy ludzie byli umieszczeni w namiocie jakby w warownéj twierdzy. Prócz tego miano palić ognie odstraszające zwykle dzikie zwierzęta. Powróciwszy do Magna, przez dni następne towarzyszyłem paniom na spacery, na których zbieraliśmy rzadkie owady i zioła, jeździłem z niemi łódką po wodach Gangesu, a wreszcie chodziłem na połów ryb przy pomocy kormoranów. Wielkie te ptaki oswojone biegły za nami jak psy. Na dany znak szły w wodę i wynosiły ztamtąd ryby, które usiłowały połknąć; nie mogły tego jednak dokazać z powodu srebrnéj obrączki założonéj na szyję; łapaliśmy ich wtedy, co zresztą było dość łatwo, bo wcale nie uciekały. Upuszczały zaraz rybę na piasek i szły po nową zdobycz. Ludzie nasi zbierali tymczasem ryby, wszystkie drobniejsze składali do obszernego naczynia z wodą, a gdy połów był ukończony, oddawaliśmy je kormoranom, zdjąwszy im wpierw z szyi obrączki. Po upływie trzech dni, major powrócił szczęśliwie wraz ze swemi gośćmi. Zabito dwudziestu dwóch tygrysów i odstraszono resztę przynajmniéj na pewien przeciąg czasu.

Dla skrócenia nam czasu monotonnéj żeglugi po rzece, major wyprawił nasz statek naprzód. Mieliśmy się z nim połączyć w połowie drogi, jadąc lądem. Pan Daly chcąc dłużéj być z nami, odprowadzał nas aż do Dakko, miasta będącego niegdyś pod panowaniem francuzkiem, jak to wzkazywała jeszcze opuszczona od strażników swoich trójkolorowa niegdyś chorągiew, powiewająca na wieży bramy wjezdnéj. W drodze miałem znów sposobność przypatrzyć się różnym obyczajom miejscowym. W pewnéj wiosce przez którą przejeżdżaliśmy, ogłuszył nas prawie piekielny hałas muzyki indyjskiéj. Wszyscy mieszkańcy wylegli w świątecznych strojach na ulicę, wydając okrzyki radości, które mięszając się z pewnym dźwiękiem trąby pogrzebowéj, dziwną tworzyły harmonię. W pośrodku wioski pod baldachimem ozdobionym kwiatami spoczywało ciało zmarłego bramina; powiedziano nam, że obchodzono uroczystość jego pogrzebu, a cieszono się ztąd, że siedmnastoletnia wdowa okazała chęć spłonąć na stosie wraz z ciałem męża. Ktokolwiek obecnym jest podobnéj ceremonii, tem samem już oczyszcza się z wszelkich popełnionych przedtem grzechów, nic więc dziwnego że wszyscy radują się i pilnują aby ofiara spełnioną została. Setki nieszczęśliwych kobiet giną corocznie w podobny sposób w prowincyach bengalskich, Anglicy bowiem ażeby powstrzymać ten barbarzyński

zwyczaj, postanowili jedynie że wdowa która chce się spalić, musi wpierw złożyć deklaracyę przed urzędnikiem miejscowym, że nie jest do tego przymuszoną. Chęć pochwalenia się publicznie odwagą popycha jeszcze zwykle na stos biedne kobiety. Idą na stos pozornie spokojne, lecz w ostatniéj chwili wybucha ich rozpacz i trwoga; chcą uciec, lecz nadaremnie; obecni bramini na stos je wrzucają gwałtem. Panie nasze dowiedziawszy się o co rzecz idzie, nie chciały się zatrzymywać ani chwili, pragnąc uniknąć okropnego widoku; mężowie ich pragnęli wszakże wraz zemną przypatrzyć się obrzędowi. Stanęło więc na tem, że pojadą naprzód i będą czekać w drugiéj wiosce, gdzie się z niemi połączymy. Nie stracili-śmy zbyt wiele czasu, bo ceremonia była już rozpoczęta. Młoda wdowa, strojna w klejnoty i kwiaty, ukazała się wkrótce niesiona w palankinie. Lud cisnął się do niéj, ona zaś spokojna i uśmiechnięta, rozdawała do koła listki betelu na pamiątkę, życząc tym co byli bliżéj zdrowia i szczęścia. Przyłączyliśmy się do całego orszaku i wraz z nim pociągnęliśmy w stronę gdzie ułożono stos i przeniesiono ciało zmarłego. Przez całą drogę wdowa rozmawiała swobodnie z blizkiemi swemi; zobaczywszy wszakże stos zachwiała się i zbladła, a w końcu wybuchła głośnem łkaniem. Był to widok rozdzierający; nie mogłem go przenieść do końca i oddaliłem się, gdy pomimo oporu ściągano ja z palankinu. Towarzysze moi którzy pozostali, powiedzieli mi że po długiéj jeszcze walce wrzucono młodą kobietę na stos na wpół umarłą i spiesznie go zapalono. Żaden z obecnych europejczyków bez narażenia życia nie mógł przemawiać za nieszczęśliwą ofiarą do roznamiętnionego tłumu, który jęki jéj tłumił okrzykami dzikiéj radości.

Rozstaliśmy się z majorem z głębokim smutkiem. Nie tylko ja lecz i towarzysze moi nie spodziewali się widzieć go wprędce, serdeczne zaś i gościnne jego przyjęcie pozostało nam na zawsze w pamięci. Po piętnastodniowéj wycieczce na wybrzeża Gangesu, przybyliśmy do Kalkutty tymże samym statkiem, którym wyruszyliśmy w podróż, połączywszy się znów u najbliższego ramienia rzeki. Pan Damazy oczekiwał mię niecierpliwie, ukończył bowiem swoje interesa i rad był zwiedzić bliższe okolice Kalkutty, pod przewodnictwem przyjaciół którym zawdzięczałem najciekawsze wrażenia z podróży. Powitawszy go serdecznie, obiecałem mu wszędzie towarzyszyć i wraz z nim szukać okrętu mającego nas odwieść do Europy, gdyż kapitan Mac Clinton, z którym przybyliśmy, musiał niespodziewanie dłużéj zabawić w Indyach.

TEATR.

„W Jesieni" komedya w 1-ym akcie przez Władysława hr. Koziebrodzkiego.

Koziebrodzki, należy do szczupłej garstki tych młodych pisarzy dramatycznych, którzy od lat kilku walcząc odważnie przeciw napływowi sztuk obcych, zalewających repertoary teatrów polskich, pomimo niesprzyjających okoliczności, wytrwale pracują, składając częste dowody talentu. Wybrał on sobie za główny przedmiot i tło swoich komedyj salon wiejski i miejski, malując jego mieszkańców, nieraz z wiernością fotograficzną. Napisał on już wcale dużą seryę drobnych *bluetek*, którym krytyka przyznała wdzięk i dowcip. Pomimo to, nader mało utworów scenicznych tego płodnego autora, widzieliśmy przedstawianych w teatrach warszawskich, i zwykle, albo sztuka powierzoną była słabszym siłom artystycznym, albo wybór jej nie był najszczęśliwszym. To samo dałoby się powiedzieć o komedyjce „W Jesieni", odegranéj niedawno na scenie Teatru Rozmaitości, a która należy do słabszych, w pośród tych jakie wyszły z pod pióra Koziebrodzkiego.

Dwóch starych kawalerów mieszka na wsi. Jeden z nich, pan domu, Zygmunt, jest człowiekiem przeżytym, sparaliżowanym, zreumatyzmowanym, chociaż niegdyś miał wielkie szczęście do kobiet i był w ich towarzystwie poszukiwanym. Drugi, kuzyn pierwszego, Gwalbert, wbrew przeciwnie, wiecznie romansowy i zakochany, składał u stóp rozlicznych bogdanek swoje serce w ofierze i zawsze dostawał odkosza. Bawi u stryjecznego brata, gdzie spędzają czas na graniu w pikietę, nakręcaniu zegarów, pogwizdywaniu na flecie, uskarżaniu się na *jesień* i projektowaniu *in petto* rozmaitych zamiarów małżeńskich. Wtem nagle nadjeżdża stara panna, kuzynka, Paulina, z młodziuchną siostrzenicą Sabinką. Zapędziła ich do kawalerskiego dworu zła droga i oś złamana na grobli. Przybycie niespodzianych gości, daje weteranom celibatu sposobność do umizgów, oświadczyn i rozlicznych miłosnych ceregieli, które nie mogą mieć matrymonialnego rezultatu, z powodu że dziewczątko kocha jakiegoś tam pana Stanisława czy Karola, i prosi zapamiętałych wielbicieli, aby dopomogli jej wyjednać u matki zezwolenie na ten związek. W tej kolizyi, szczęśliwszy Zygmunt wychodzi jeszcze jako tako, chociaż czuje się upokorzonym i rozgniewanym; ale biedak, sentymentalny Gwalbert, przez plenipotencyę romantycznie udzieloną ciotce, chcąc trafić do dziewczęcego serduszka, daje się ułowić w grube sieci komicznéj staréj panny, i aby już raz *skończyć* z tym okropnym bezżennym stanem, przyjmuje z niemłodych rąk jarzmo, do którego przez lat pięćdziesiąt wzdychał.

Oto krótka treść utworu. Uzdolniona dłoń autora wcale szczodrze rozsypała w nim bogactwa dowcipu. Grzeszy on tylko trochę — długością, przewlekłością i powszednią, niepodniesioną żadnym oryginalniejszym sytuacyjnym pomysłem. Typy te dosyć często widywaliśmy już na scenie i wydają się nam one jak spłowiałe postacie ze starego gobelinowego kobierca—wcale ładne ale niedość ożywione—że już szczerze dopowiemy myśli, nie dość *jaskrawe*. Bez pewnej śmiałości kolorytu, charaktery sceniczne nie mają racyi bytu; — jędrność, szczerość, nawet szorstkość czasami, miasto być ujemną stroną, bywa prawie zawsze zaletą. Brak męzkiej siły w pomyśle i rysunku, jest głównym brakiem sztuki. Pomimo to, jak to już wyżej powiedzieliśmy, kilkanaście zgrabnych szczegółów świadczy, że muszą być inne komedye tegoż samego autora, posiadające wyższe przymioty i że nie dobrze jest iż reżyserya nie postarała się zrobić szczęśliwszego wyboru, w dość licznym zbiorze komedyj Koziebrodzkiego.

I o wykonaniu nie jesteśmy w stanie—zbyt ogólnie — wyrazić się z samemi pochwałami tylko. P. Żółkowski, znakomity artysta w całem tego słowa znaczeniu, talent na jaki nie łatwo najpierwsze w Europie teatra zdobyć by się mogły, zmęczony sam chwilową chorobą, zbyt silnie uwydatniał artrytyczne i podagryczne cierpienia starego Don Juana, a chociaż poszedł tu za wskazówkami autora, pomimowoli odjął postaci tę dobroduszną sympatyczność, jaką umie wzorowo oddawać, ile razy sobie tego życzy, a która i w *Zygmuncie* z „W Jesieni" winna być tłem charakteru *bluetkowego* bohatera. P. Popiel była milutką pensyonareczką, jaką być zawsze potrafi. Pełną żywości, werwy, młodości i gracyi, cechującej tak mile jej dystyngowane i zawsze poprawne wykonanie. P. Rapacki, zbyt może uporczywie gonił za karykaturalną charakterystyką, ztąd też i gra jego, bardzo zgrabnie obmyślona, wydawała się cokolwiek przesadną, —nadto, wpadała czasami w pewne reminiscencye z jego wybornych ról dawniejszych, co przypomnieniem samem, niemiłe wrażenie robiło na słuchaczu. Pan Damse, jako stary lokaj był doskonałym. Dobroduszność rozlana na jego fizyognomii, umiarkowanie w gestach, miara w komiczności, świadczyły pięknie o artyście, zapomnianym trochę od pewnego czasu, a nie zasługującym na to zapomnienie zupełnie. Panna Figarska przyzwoicie wybrnęła z trudnego zadania. W całem przedstawieniu, czuć było pewien brak należytego opracowania;— zwracamy na to uwagę reżysseryi, która zbyt dobrze jest nam znaną z poczciwych chęci i gorącej życzliwości dla oryginalnych sztuk, abyśmy przypuścić mogli, że fakt ten jest wynikiem złej woli,—pragniemy i wolimy raczéj obwiniać o to *przypadek* lub jakiś nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Zyg. Sar.

TREŚĆ NUMERU: **Nieznajoma poetka.** — **Obiad składkowy,** humoreska J. Blizińskiego. — **Na mylnej drodze,** powieść przez Krystynę Narbuttównę (c. d.). — **Zdobycie Grenady,** opowiadanie historyczne (dok.).—**Piętnaście dni na wybrzeżach Gangesu,** wyjątki z dziennika podróży A. M. (dok.). — **Teatr:** „W Jesieni" kom. w 1 akcie, Wład. hr. Koziebrodzkiego, p. Zyg. Sar. — W odcinku: **U ogniska.** — W dodatku: **Przysięga Debenhama,** ark. 34.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 6 (18) Ноября 1875 г. Wydawca i Redaktor, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom drugi.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 59.)

— Dziwne to zdarzenie, powiedziała, cały Londyn będzie jutro o tem mówił.

— Bez wątpienia; ale nie byłby tego wyjawił, gdyby go okoliczności nie zmusiły. Jeżeli ma zamiar dalej trudnić się handlem, będzie to dziwnem dla niego, a dla mnie niemiłem. Dotąd jest jeszcze jakby na moich usługach; nasze stosunki są dziwne, bardzo dziwne. Oto idzie Choakes; ciekawy jestem czy wie już o tem.

P. Hardwicke pobiegł podzielić się swemi wiadomościami z rektorem św. Hildegardy, który powtórzył je dwunastu innym osobom, a te dwanaście przez cały wieczór dalej je rozpowszechniały. Przed dwunastą było już ze trzysta osób zebranych, a każda z nich będąc zaledwie przez pięć minut w salonie, wiedziała już o wszystkiem, i unosiła się nad losem zubożałego szlachcica, rozpoczynającego swój zawód jako artysta, opuszczającego muzykę dla handlu i robiącego w sześciu miesiącach majątek. Co do kapitana Hay, zupełnie zapomniano że miał jaki udział w ostatnich przygodach De Benhama; blask jego był przyćmiony chwałą współtowarzysza, szczęściem że go to cieszyło.

Gdy w ciągu wieczora De Benham znalazł się niedaleko panny Hardwicke, ona, czując się w obowiązku uczynić wzmiankę o tych wypadkach, zbliżyła się do niego mówiąc:

— Mylordzie De Benham, chciałabym ci wyrazić przykrość, jakiej brat mój i ja doznajemy, że byłeś zmuszony w naszym domu mówić o rzeczach o których wolałbyś był milczeć.

De Benham ukłonił się.

— Jestto rzecz bardzo małej wagi, rzekł. Musiałem tylko dzisiaj wyjawić fakta, które miałem zamiar później ogłosić.

— Ale to później było jeszcze może bardzo oddalonem.

— Życzyłem sobie tylko zaczekać, dopóki nie będę w położeniu uskutecznienia pewnych zamysłów, odpowiedział De Benham, i miałem nadzieję że chwila ta nadejdzie jeszcze za życia mojéj matki. W ogóle nie mam czego żałować.

— Kuzyn mój Arczybald mówił mi że mieszkasz z matką mylordzie, powiedziała panna Hardwicke. Może lady De Benham pozwoli mi przysłać jéj trochę kwiatów oranżeryjnych?

De Benham znowu się ukłonił trochę sztywnie.

— Zanadto jesteś pani łaskawą, powiedział.

Wielki artysta zaczął teraz grać na skrzypcach i rozmowa przerwaną została.

Pomiędzy gośćmi znajdował się także Arczybald Blyth; pierwsze osoby jakie spotkał były: p. i panna Albyne i amerykański dziennikarz Washington Flack. P. Hardwicke zawsze lubił mieć w liczbie swoich gości artystów i literatów, korzystał z téj sposobności żeby osobiście zapoznać się z malarzem *Aten Peryklesa*, a p. Albyne nie mniéj pragnący uczynić ściślejszą znajomość z nowym protektorem, przyjął zaproszenie dla siebie i córki. Arczy spotkał ich w chwili kiedy stali przy wejściu do pierwszego salonu i dopiero co przyszli. Kiedy się z niemi witał, Amerykanin właśnie wychodzący łapiąc go za rękę, zawołał:

— O ty, tajemniczy człowieku! ty milczące stworzenie! ty, nieodgadniony hieroglifie! dla czego nie obszedłeś się ze mną jak z przyjacielem i wszystkiego mi nie powiedziałeś?

— Czego? spytał Arczy, nie bardzo smakując w wesołości wielkiego człowieka.

— O tym waszym ukrytym magnacie, o tym lordzie z kantoru, o niewielkim majątku, ale o nieskończonéj genealogii! Byłbym nie wiem wiele dał, żeby mój dziennik o tydzień uprzedził inne.

— Powiadam panu że nie mam wyobrażenia o czem chcesz mówić, powiedział Arczy.

— Mówię o twoim lordzie De Benham.

Arczy spojrzał po kolei na pana Washington Flack i na pannę Albyne.

— Lord De Benham! powtórzył z najgłębszem zdziwieniem.

— Czyżbyś pan nie znał téj tajemnicy? więc ja, Washington Flack, musiałem przybyć z tamtéj strony Atlantyku żeby pierwszy ci ją oznajmić! A to mi doskonałe!

W kilku wesołych słowach, Amerykanin opowiedział mu to co znał z historyi De Benhama.

— Oto uciemiężony niewolniku krwi i bogactw nienasyconéj arystokracyi, kończył on, oto jaką herbowną żmiję tuliłeś do twych niewinnych piersi! — Dobranoc.

I majestatycznym ruchem ręki, p. Washington Flack pożegnał go i poszedł opowiedzieć tę samą historyę na trzech innych wieczorach i przy kolacyi w klubie, nim udał się na spoczynek.

— Czy to może być prawdziwem? spytał p. Albyne.

— Nie wiem... być może, wyjąkał Arczy.

I spojrzał znów na pannę Albyne, ale ona odwróciła głowę i nic nie mówiła.

W téj chwili zbliżyło się do nich dwóch panów, znajomych jéj ojca i pana Hardwicke, którzy znając dom i ciekawość malarza, zabrali z sobą pana Albyne, żeby mu pokazać obrazy znajdujące się w dolnych pokojach; panna Albyne pozostała sama przez kilka minut z Arczybaldem.

— Panie Blyth, zapytała drżącym głosem, czy on jest tutaj?

— Temple? z pewnością. Był tu na obie dzie z kapitanem Hay i z innemi osobami zebranemi na ich cześć. Nie wiedziałaś pani o tem?

— Nie, nie wiedziałam, wymówiła z trudnością.

Arczy widział jak bladła, to znów rumieniła się i serce jego napełniło się litością.

— Jest pewno w ostatnim pokoju i nie wyjdzie ztamtąd przed kolacyą, powiedział zniżając głos. Nie zobaczysz go wcale pani, jeżeli sobie tego nie życzysz, i on ciebie nie zobaczy jeżeli nie pójdziesz daléj jak do drugiego salonu. Przepraszam panią, może nie powinienbym tego mówić.

Panna Albyne spojrzała na niego z wdzięcznością i starała się uśmiechnąć.

— Dziękuję, powiedziała. Zostanę tutaj.

Po kilku chwilach, dodała:

— Chciałabym widzieć pannę Hardwicke.

— Moją kuzynkę Klaudyę? Jeżeli tylko pani chcesz, przedstawię jéj ciebie.

— Nie życzę sobie być jéj przedstawioną, chciałabym tylko ją zobaczyć. Mówią że jest bardzo piękna.

— W saméj rzeczy, jest bardzo piękna, powiedział Arczy, jestto zdanie ogółu.

Zdawał się wahać. Panna Albyne odgadła przyczynę tego wahania.

— Moglibyśmy się tylko przybliżyć i z drugiego pokoju ją zobaczyć, powiedziała.

Przeszli więc do drugiego pokoju i stanęli przy wejściu do ostatniego, zasłonięci wielką liczbą gości. Tam, niedaleko fortepianu ujrzeli De Benhama i pannę Hardwicke; było to podczas krótkiéj ich rozmowy; panna Hardwicke wyrażała właśnie swój żal, a De Benham zapewniał ją że żal ten jest zbytecznym.

— Oto ona, powiedział Arczy, ta pani w aksamitnéj fiołkowéj sukni.

Żywy rumieniec okrył twarz panny Albyne i zniknął zostawiając ją bledszą niż wprzódy.

Panna Hardwicke z uśmiechem ofiarowywała wtedy kwiatki dla lady De Benham; widzieli ten uśmiech i ukłon którym De Benham jéj odpowiedział.

— Nie zawsze bywa tak uprzejmą, powiedział Arczy.

Wielki artysta zaczął grać na skrzypcach i De Benham usunął się, robiąc miejsce dla kilku pań, Panna Albyne cofnęła się spiesznie.

— Idźmy, panie Blyth, powiedziała. Patrzy w tę stronę, idźmy, proszę pana.

Arczy podał jéj rękę i wyprowadził ją do pierwszego salonu, gdzie usiadła niedaleko drzwi.

— Czy nie chciałabyś pani powrócić do domu? zapytał się, widząc jak była bladą i drżącą.

— Jeszcze nie; dopiero przyjechaliśmy.

— Ale pani jesteś słabą!

Potrząsła głową.

— Nie, powiedziała, nie jestem słabą tylko zmęczoną... zresztą papa nie widział jeszcze pana Hardwicke.

Zatrzymała się jakby dalej mówić nie mogła i Arczy widział jak oczy jéj napełniły się łzami. Zacisnął zęby i mało nie tupnął nogą o miękki aksamitny dywan pana Hardwicke.

— Tego doprawdy za wiele, mruknął. Możnaby go nienawidzieć.

— Panie Blyth, nie chcę żebyś tak się wyrażał o twoim przyjacielu.

— Dla czego nie mam mówić tego co myślę i co jest prawdą. Jestto nielitościwe...

Panna Albyne ręką dotknęła się jego rękawa.

— Cicho! powiedziała. Nie pozwolę żebyś pan go oskarżał. Rozumiem teraz wszystko; wiele rzeczy dotąd niepojętych dla mnie, jasno dziś wieczór ujrzałam. Ma inne cele... inne obowiązki... daleko lepiéj że się tak stało.

— Ale egoizm tylko...

— Kochany panie Blyth, jeżeli ja na niego nie uskarżam się, dla czego ty miałbyś to czynić? Wierz mi, nie chciałabym żeby inaczéj było. A teraz, wolałabym już o tem nie mówić.

Arczy odsunął się zmięszany i milczący; ale jak tylko artysta do nich powrócił, znów objawił swoje zdanie że panna Albyne powinnaby do domu powrócić.

— Ale, moje drogie dziecko, powiedział ojciec zniecierpliwiony, zupełnie dobrze wyglądasz. Byłaś zdrową kiedy wyjeżdżaliśmy z domu.

— I będę zupełnie zdrową papo, jeżeli nie powrócę do tamtych salonów, gdzie jest tak duszno, odpowiedziała panna Albyne. Pan Blyth tylko utrzymuje że jestem słabą.

— Niechże cię więc pan Blyth zaprowadzi, kochanko, do jednego z dolnych pokoi, do bi-

blioteki naprzykład, gdzie jest zupełnie chłodno i spokojnie. Będziesz tam zupełnie sama i możesz się zabawiać książką, dopóki nie przyjdę po ciebie.

Panna Albyne była z tego bardzo zadowoloną i Arczy, który był w domu kuzyna poczęści jak u siebie, zaprowadził ją do biblioteki, przysunął krzesło do kominka i przyniósł jéj filiżankę herbaty.

— A teraz panno Albyne, powiedział, nie powinienem tu pozostać, więc idę do domu.

— Jakto? pan nawet w wielkim salonie nie byłeś, powiedziała zdziwiona.

— Dość już mam tego; i... i, jeżeli mam prawdę powiedzieć, nie mam wcale ochoty widzieć się dzisiaj z De Benhamem. Powiadają że jest lordem, a ja nie jestem przyzwyczajony do towarzystwa lordów; może nie potrafiłbym być dosyć uniżonym. Dobranoc pani.

— Dobranoc, panie Blyth; ale musisz mi jedną rzecz obiecać.

— Co takiego?

— Że nie poróżnisz się z twoim przyjacielem.

Arczy rozśmiał się i potrząsł głową.

— O nie! powiedział, nie poróżnię się z nim.

— Ani nie będziesz dla niego nieprzyjemnym, ani go nie będziesz unikał.

Arczy zamyślił się.

— Mogę, zdaje mi się obiecać, powiedział nareszcie, że nie będę nieprzyjemnym dla niego, ale zapewne De Benham i ja mniéj się na przyszłość widywać będziemy. Trudno żeby było inaczéj. Teraz kiedy tajemnica jego jest znaną, musi zająć miejsce jakie mu się należy w społeczeństwie, i różnica stanowiska rozdzieli nas sama przez się. Wyznaję że w téj chwili gniewam się na niego, ale to nie wpłynie na nasze stosunki. Jest on zarówno dla mnie stracony jak i dla ciebie, panno Albyne.

— Spodziewam się że nie, powiedziała panna Albyne, z całego serca spodziewam się że nie.

Arczy jeszcze raz życzył jéj dobréj nocy i ścisnął podaną mu rękę.

— Czy mogę przyjść do państwa jutro, zapytał się, dowiedzieć się o zdrowie pani?

— Owszem, jeżeli pan będziesz w naszem sąsiedztwie, i nie będziesz miał nic lepszego do czynienia; ale ja teraz jestem już zupełnie zdrową.

Arczy jednak powtórzył że nie omieszka być nazajutrz i odszedł.

Mgła gęsta panowała przez cały dzień, a teraz zamieniła się w deszcz. Karety jednak napełniały ulice i nowi goście jeszcze przybywali; musiał więc piechotą ujść kawałek nim spotkał próżną dorożkę. Kiedy do niéj wsiadał, zatrzymał się chwilę z jedną nogą na stopniu i odwrócił się spoglądając na rzęsisto oświecone okna.

— Jakiż człowiek spełna rozumu, powiedział do siebie, zamykając drzwiczki i spuszczając okna, mógłby opuścić tak śliczną i miłą dziewczynę! Nazwała mnie kochanym panem Blyth. Kochany panie Blyth! Gdyby kiedy powiedziała: kochany Arczy!

ROZDZIAŁ XIII.

Ważna rozmowa.

Gdyby umysł Templa De Benham był mniéj zajętym, a usposobienie jego spokojniejsze, przez pierwsze dwa tygodnie następujące po jego powrocie do Anglii, byłby może prędzéj odzyskał siły i lepiéj wyglądał. Ale nie chciał czy nie mógł usunąć tych zamiarów i myśli które stały się teraz jego życiem, odbierały mu sen, ścigały go jak cień we dnie, i dla których ciągle nadużywał sił fizycznych. On jeden wiedział jak uporczywie ich nadużywał gdy siedział nad rachunkami, pisał listy, uwijał się po City; przez cały ten czas zatopiony był w myślach tyczących się jego osobistych interesów; jak zawsze, dążył do dwóch zupełnie różnych celów: żyjąc w teraźniejszości, nie mniéj gorąco zajmował się przyszłością, rozważając prawdopodobieństwa, zastanawiając się nad niebezpieczeństwami, przewidując wypadki. Była to praca umysłowa jemu tylko jednemu wiadoma.

Ale praca ta wywierała na niego wpływ szkodliwy; puls jego ciągle był osłabiony, ręka drżąca, oczy skiwiły nienaturalnym blaskiem; to też serce matki przepełnione było niepokojem, a kapitan Hay potrząsał głową z niedowierzaniem gdy Temple zaczynał mówić o przyszłéj wyprawie *Ptaka Burzy*.

— Jeżeli, jak pan mówisz, ten młody człowiek jest rzeczywiście lordem, nie sposób żeby znów się puszczał na wyprawę, powiedział p. Tymoteusz Knott, roztrząsając ten przedmiot ze swoim pryncypałem nazajutrz rano po wieczorze.

— On sam musi w tym względzie stanowić, odrzekł pan Hardwicke zamyślony i utkwiwszy oczy w list rozłożony przed nim na biurku.

— Mojém zdaniem, każdy powinien zajmować stanowisko jakie mu się należy, powiedział pierwszy buchalter, lord niech będzie lordem, nadzorca zaś ładunku, nadzorcą ładunku.

— Lepszego nadzorcy ładunku nigdy nie miałem, powiedział p. Hardwicke.

— Ale nie wypada mu już teraz tem się trudnić, powtarzał p. Tymoteusz Knott; byłoby to samo, jak gdybym ja przypiął sobie order i niebieską wstęgę, i chciał zasiadać w Izbie lordów.

P. Hardwicke pokiwał poważnie głową.

— Nie wiem, czy to wypada lub nie, powiedział, ale mało rzeczy tak będę żałował jak jego usług. Ma tu być o jedenastéj, i zapewne rzecz zostanie ułożoną. Prosiłbym cię, panie Knott, żeby się na niego nie bardzo oglądano i nie szeptano, kiedy będzie przechodził przez kantor.

— Jakże ja mogę temu zapobiedz. Trudno żebym zabraniał tym młodym ludziom śmiać się i mówić, jeżeli będą mieli do tego ochotę.

— Niech go wprowadzą nie meldując, w tym razie będzie to lepiéj.

P. Knott odszedł mrucząc po cichu, a p. Hardwicke, spojrzawszy na zegarek, daléj czytał listy przywiezione ranną pocztą. Duża paka leżała ich na biurku; niektóre zaledwie przejrzał, inne dwa razy nawet przeczytał, kilka listów rzucił od razu w koszyk na niepotrzebne papiery, kilka odłożył na późniéj, a ten list który odebrał podczas rozmowy z naczelnym buchalterem, włożył osobno pod przycisk.

O jedenastéj, posłuszny zegarowi, jak nim być powinien człowiek trudniący się interesami, ukazał się De Benham.

P. Hardwicke przyjął go na wpół zmieszany, na wpół nadskakujący i przysunął mu krzesło do kominka. De Benham zziębnięty wyciągnął ręce do płomienia i p. Hardwicke spostrzegł jak był bladym, i jak wychudłe i przezroczyste były jego ręce.

— Zimno jest dzisiaj, mylordzie, powiedział.

— Bardzo zimno, odrzekł De Benham.

— Ależ obecnie grudzień, a w zimie powinno być zimno.

— Zapewne, odpowiedział De Benham roztargniony.

Rozmowa urwała się. P. Hardwicke pokasływał, kręcił się na stołku, poruszał ogień, nie wiedział jak zacząć; nareszcie De Benham podniósł głowę.

— Jest jedna rzecz, powiedział, panie Hardwicke, względem któréj chciałbym zaraz się z tobą porozumieć. Po tem co wczoraj wieczór zaszło u ciebie, będę nieraz zmuszonym przybrać tytuł mego ojca, i starać się będę nosić go jak najgodniéj; ale tutaj jestem po prostu: Temple De Benham, nadzorca pańskich ładunków, i na pańskie usługi.

— Masz więc, mylordzie, zamiar nie...

— Nie porzucać zawodu jaki sobie obrałem. Bez wątpienia.

— I znów wyjechać na *Ptaku Burzy*.

— Tak jest; ale właśnie w tym przedmiocie przyszedłem dzisiaj poradzić się pana.

— Życzyłem sobie także o tym samym przedmiocie pomówić z tobą, mylordzie, odpowiedział kupiec, wyjmując z pod przycisku list tam złożony. Bądź łaskaw przeczytać ten list od mego agenta w Liwerpool. Donosi mi że *Ptak Burzy* będzie gotowym mniéj więcéj za tydzień.

De Benham wziął list, przeczytał go i oddał nic nie mówiąc. P. Hardwicke spojrzał na niego z niespokojnością.

— Będzie to naturalnie dla mnie wielką radością, powiedział, jeżeli postanowisz wyjechać, mylordzie. Nie miałbym już żadnego zaufania w téj spekulacyi, gdybyś ty się z niéj wycofał.

De Benham zagryzał końce wąsów, jak było jego zwyczajem gdy głęboko nad czem rozmyślał.

— Panie Hardwicke, rzekł nareszcie, będę otwartym z tobą. Jednéj rzeczy mi przedewszystkiém potrzeba, to jest pieniędzy. Bez nich, nic nie potrafię zrobić, za ich pomocą wielu rzeczy bardzo dla mnie ważnych będę mógł dokonać.

— Naturalnie, naturalnie, mówił p. Hardwicke; człowiek na takiem stanowisku powinien módz utrzymać swoje miejsce w społeczeństwie.

— Nie o społeczeństwo mi idzie, powiedział De Benham z pogardliwą niecierpliwością, ani nawet o moje stanowisko. Ale muszę wydobyć z zapomnienia starożytne imie, odbudować dawny zamek, odkupić dobra które dyś do mojéj rodziny należące. Na to wszystko potrzebuję pieniędzy, i więcéj pieniędzy niż mogę kiedykolwiek mieć nadzieję zarobić jako nadzorca ładunku *Ptaka Burzy*.

P. Hardwicke uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Nie mogłeś się jednak dotąd uskarżać, mylordzie, powiedział; nie wiele jest zajęć któreby, bez żadnego kapitału, przyniosły w sześciu miesiącach sześćdziesiąt tysięcy funtów.

— To prawda, ale jestem teraz kapitalistą.

P. Hardwicke sposępniał.

— Miałem nadzieję, powiedział, że mi pozwolisz, mylordzie, ofiarować ci rady jakie może natchnąć doświadczenie, w przedmiocie umieszczenia twego kapitału. Nie mógłbyś naprzykład nic lepszego uczynić, jak odkupić dawne rodzinne dobra, ani nic gorszego, jak puścić się na niebezpieczne spekulacye. Ja sam zawsze uważałem spekulacye jako kosztowną zabawkę, a spekulacye na wielką skalę jako prawdziwe szaleństwo. Kiedy też przystałem na ostatnią naszą wyprawę, miałem te pięćdziesiąt tysięcy funtów jakie w nią włożyłem, za stracone; ale gdyby ta suma stanowiła cały mój majątek, lub większą jego część, wolałbym był od razu ogłosić się za bankruta jak użyć jéj na zakupienie *Ptaka Burzy* i t. d. Ale przepraszam cię, mylordzie, nie proszony narzucam się z mojemi radami.

(*C. d. n.*)

Druk J. Noskowskiego Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 6 (18) Ноября 1875 г.